

GRAŻYNA PLEBANEK

BRUKSELA

ZWIERZĘCOŚĆ W MIEŚCIE



[fragment książki](#)

Popaprany architekt

Schodzę z ronda Louise, w myślach towarzyszy mi *zinneke* i reszta sikającej trójcy. W Brukseli wciąż nie wszystko jest otwarte, trwa „odmrażanie” życia codziennego po pierwszej fali pandemii. Efektem ubocznym jest brak dostępnych toalet.

Równo 110 lat temu, w 1910 roku, w mieście były 102 publiczne urynały. W roku zakończenia drugiej wojny światowej ich liczba zmalała o połowę, a w roku 2005, kiedy zamieszkałam w Brukseli, zostało tu jedno, dosłownie jedno oczko.

Brak publicznych toalet daje się we znaki głównie kobietom. Piszę o tym nie tyle w zapale feministycznym, ile dlatego, że kiedy zmierzałam z ronda Luizy w stronę Pałacu Sprawiedliwości, poczułam potrzebę, której miasto, wypełnione siusiającymi figurkami, poniekąd patronuje. Restauracje i kafejki były jeszcze zamknięte, więc moje zdesperowane oko padło na największą europejską budowlę XIX wieku. Tam musi być toaleta!

I tak ten osobisty, bardzo brukselski wątek zaprowadził mnie pod dach przybytku, o którym chcę opowiedzieć. Fakt, że zobaczyłam go od środka pod presją, nie odbiera wrażeniu świeżości. Bo kiedy po zdjęciu paska, zegarka, plecaka i przejściu przez bramkę z fotokomórką dostałam się wreszcie do środka, zapomniałam, po co tu przyszłam.

Nie wiem, czy to jest komplement dla architekta Josepha Poelaerta, wizjonera eklektyzmu, ale jego dzieło robi ogromne



wrażenie. Podobnie poczułam się, kiedy pierwszy raz jako dziecko znalazłam się w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki. Przyzwyczajona do blokowych klitek, gdzie sufit znajdował się niewiele ponad głową mojego prawie dwumetrowego ojca, zagubiłam się w ogromie przestrzeni nade mną. W brukselskim Pałacu Sprawiedliwości poczułam to samo. Bezmiar, jakiego człowiek spodziewa się na stepie albo podczas odpływu w Normandii – ale nie w pomieszczeniu zbudowanym ludzką ręką – po prostu mnie oszołomił. Próbowałam zrobić zdjęcie sklepienia, lecz aparat zgłupiał. Szatkował przestrzeń na kawałki, zachłystywał się ogromem, nie ostrzył z nadmiaru wysokości.

I to jest chyba efekt, o który chodziło architektowi. Zachwyt to jedno. Ale i efekt, do którego zmierzał także socrealizm – oniesmielenia. Daje poczucie, że człowiek, sam jeden, jest niczym, tylko w grupie może coś osiągnąć. Dobrze zorganizowanej, zgromadzonej pod chwytliwymi hasłami ideologii. Faktycznie, w Pałacu Sprawiedliwości poczułam się niewiele znaczącą mrówką.

Jednocześnie w umyśle włączyła mi się czerwona lampka. Stojąc pod monumentalnym sklepieniem, przypomniałam sobie, że nielubiany przez mieszkańców miasta „Mamut” powstał z rozkazu króla Leopolda II. I chociaż budowę rozpoczęto „przed Kongiem”, to zakończono ją, kiedy pieniądze z kolonii płynęły szerokim strumieniem. Paradoksalnie otwarcia giganta nie doczekał się ani jego twórca, ani król. Budowę dokończyło państwo belgijskie, które w międzyczasie odkupiło od Leopolda II jego prywatną kolonię w Afryce.

Pisarze końca XIX wieku, których świeżutko wzbogacone belgijskie drobnomieszczanstwo nie ceniło – co to za „zawód” pisanie! – nie cierpieli tej budowli. „Kolos”, „potwór” – pomstował Paul Verlaine.

Mieszkańcy dzielnicy, którą Pałac przytłoczył, mieli nie tylko estetyczne powody pojawienia się w dniu inauguracji z kamieniami



w rękach po to, by go rozwalać i demolować. Wściekali się, bo tu, gdzie wzniesiono giganta, wyburzono wiele domów. Ludziom, którzy w nich mieszkali, kazano się wynosić. Część przekwaterowano do zakątka dzielnicy Uccle, zwanego Kocim, gdzie wtedy mieszkała biedota. Akurat ci nie wyszli na tym źle, bo dziś Uccle jest jednym z najzasobniejszych regionów miasta. I jednym z najbardziej snobistycznych.

Zanim wyrósł tu Pałac, na wzgórzu stały szubienice. Miały straszyc tych, którzy mieszkali w dole. Mieszkańcy zżyli się z widokiem dyndających ciał. Jednym z nich był André Vésale, słynny lekarz i znawca anatomii z XVI wieku, urodzony niedaleko rue des Minimes. Jako dziecko napatrzył się na zwłoki w różnym stanie rozkładu, na szkielety czyszczone przez ptaki. Dziecięce zainteresowanie przerodziło się w pasję, dzięki czemu powstały szczegółowe szkice i notatki na temat budowy ludzkiego ciała.

Galgenberg (Wzgórze Szubienic) jest miejscem, gdzie miasto pęka. Przełamuje się na dwie części: górną i dolną. Między nimi kursują dwie przeszklone windy. Ruch jest płynny, ludzie przemieszczają się nieprzerwanie. Ci z „dołu” i z „góry” są dziś podobnie ubrani, ale kiedyś „dolni” nie podnosili wzroku na „górnym”, a „górnym” nie raczyli obrzucić „dolnym” spojrzeniem. Górna część miasta była zasobna, ta pod spodem obszarpana.

Opieram się o kamienną balustradę. Rozciąga się stąd zapierająca dech panorama Brukseli. Zawsze staję przed nią bezradnie, bo nie wiem, od którego końca przepatrywać horyzont. Zaczynam od lewej, od wind. Za ich metalową konstrukcją przycupnęły prostopadłościanny budynków, które stylem nawiązują do budowy wind. Ciut w prawo wznosi się szpica kościoła. Na wprost jak kwoka na jajach przysiadła Bazylika. Za kościołem połyskują kulki Atomium. Dalej leży Laeken, siedziba Leopolda II, ciągle przebudowywana, między innymi przez Josepha Poelaerta,



którego *opus magnum*, Pałac Sprawiedliwości, mam za plecami. Widok wieńczy koronkowa wieża ratusza, tam w dole jest Grand Place, najstarsza część Brukseli.

Stąd można lizać miasto jak lody, przemykać wzrokiem po czubkach budowli, skakać po epokach, pożarach, najazdach, koronacjach, ślubach i uroczystych pochówkach. Albo wsłuchiwać się w sto języków, które świergoczą w przeszłości i teraźniejszości. Patrzyć na twarze, ubrania i odgadywać, z jakiej klasy pochodzą ludzie. Bo tu wciąż istnieją klasy społeczne, co człowiekowi takiemu jak ja, wychowanemu w socjalizmie, wydaje się egzotyczne. Właśnie to, a nie widok ludzi o innych niż biały kolorach skóry.

Najbliżej w dole leży Marolles. Właściwie to nie dzielnica, bo nie ma ram administracyjnych. To miejsce z duszą, jedno z najstarszych siedlisk w Brukseli. Barwna zbieranina niegdyś obdartych uliczek, na których rodzili się, grasowali i umierali zawodowi złodzieje. Łapserdaki i łobuzy wszelkiej maści bywali jednocześnie artystami.

Tu, na rue Haute 132 mieszkał Pieter Bruegel, jeden z najważniejszych malarzy renesansu. Napatrzył się na niepokojące twarze. Siadywał, wpatrywał się w ludzi, szkicował. Nigdy nie miał dość.

Z Marolles wyrosła też tradycja miejskich protestów. W 1969 roku mieszkańcy przeciwstawili się rozbudowie Pałacu Sprawiedliwości, bo zagrażała ona rue Haute, gdzie do dziś stoi dom Bruegla. Marolczycy, którzy byli świadkami wielu wysiedleń, zwarli szeregi w stanowczym, choć pokojowym proteście. Zwoływali konferencje prasowe, wieszali na murach plakaty z napisem „non”, wysyłali władzom telegramy – byle sprowokować dyskusję.

Udało się. Władze zarzuciły pomysł, by zbudować tu kolejną wypustkę Pałacu-kolosa i umieścić w niej archiwa. Co więcej, znalazły



pieniądze na odnowienie ulic dzielnicy. Prawdziwy triumf upartych marolczyków. Na rue de Montserrat przyśrubowana jest dziś tablica z datą skutecznego protestu i nutką charakterystycznej dla mieszkańców dzielnicy ironii: „Bataille de la Marolles 13-09-1969”, czyli „Tu stoczono bitwę o Marolles”.

Pałac Sprawiedliwości i marolczycy lubią się jak pies z kotem. Mieszkańcy tej dzielnicy, słynący z niewyparzonego języka, nadali Josephowi Poelaertowi przydomek „popaprany architekt” (*skieven architect, smeergen architect*). Przez to Bruksela jest jedynym miejscem na świecie, gdzie słowo „architekt” jest obelgą.

W gazecie „Journal des Tribunaux” z 1883 roku znajduje się relacja z potężnej awantury, która miała miejsce na Marolles⁵. Młoda mieszkanka dzielnicy pobiła pewnego mężczyznę, z czego tak się tłumaczyła sędziemu:

„– Krzyknął do mnie: »Jesteś bezwstydnicą, a twój brat jest architektem!«. No więc tak się wściekłam, że go zdzieliłam!

– Bo przezwał cię bezwstydnicą? – upewnił się sędzia.

– Nie! Łatwo mogę udowodnić, że nie jestem żadną bezwstydnicą. Ale on powiedział, że mój brat jest architektem! – Rozpłakała się. – A mój brat to dzielny chłopak, żołnierz. My jesteśmy porządnymi ludźmi, nie ma wśród nas żadnego architekta!”

Na to mieszkańcy ulic du Faucon i de l'Éventail zaczęli kłaskać.

Obecny na sali rozpraw dzielnicowy potwierdził, że prowadzeniu się dziewczyny ani zachowaniu jej brata nie można niczego zarzucić. Dodał, że gdyby sam usłyszał, że ktoś obraża kogoś słowem „architekt”, osobiście zawłóklby typa na komisariat.

Z drugiej strony, szacunek dla tego zawodu sprawia, że w mieście znajdują się pomniki architektów, a na ścianach domów często wykute jest nazwisko twórcy kamienicy.

All lives matter

Pałac Sprawiedliwości i Marolles odwiedzam nazajutrz po manifestacji przeciw rasizmowi, która odbyła się tu 7 czerwca 2020 roku. Na ogromnej powierzchni placu zgromadziło się 10 tysięcy osób, w większości zwolenników pozbycia się z Brukseli pomników króla Leopolda II, zleceniodawcy architekta Pałacu, Josepha Poelaerta. Pomnik króla stojący przy rue du Trône został poprzedniego dnia tradycyjnie już potraktowany czerwonym sprejem, a na boku konia wykwitł napis „Zabójca”.

Betonowe kłocze oddzielające parking przed Pałacem od ulicy pokryte są napisami. W haśle „White lives matter” przekreślono pierwsze słowo i zastąpiono je „all”. „All lives matter”. Zaraz obok słynny hasztag #blacklivesmatter.

Zdjęcie krążące w mediach społecznościowych ukazuje cielsko pałacu widziane z góry. Pod nim, na powierzchni prawie równej tej, którą zajmuje budowla, czerni się tłum. Drobne ludzkie postaci protestują razem, z tej wysokości nie widać ich koloru skóry.

Wydarzenia toczą się szybko. Kiedy piszę tę książkę, tętno stosunków belgijsko-kongijskich znów się podnosi. 190/60! Obecny rząd, tymczasowy, jak to się tu często zdarza – zadziwiająco skuteczny – błyskawicznie zareagował na protesty aktywistów i ruchów #blacklivesmatter.

10 czerwca 2020 ministerka szkolnictwa Caroline Désir zapowiedziała wzbogacenie programu edukacji o historię Konga



i belgijskiej kolonizacji. Socjalista Pascal Smet z władz Regionu Stołecznego Brukseli zapowiedział zebranie komisji, która rozważy usunięcie pomników kolonizatorów, ale nie wymazanie historii. Zamiast postaci Leopolda II miałyby pojawić się miejsca poświęcone pamięci ofiar kolonizacji.

Tego samego wieczoru w telewizji RTBF oglądałam o 22.10 debatę, jakiej nie pamiętam od czasu, odkąd tu mieszkam. A pewnie i najstarsi Belgowie takiej nie pamiętają. Do dyskusji nad historią kolonizacji zaproszono nie tylko białych przedstawicieli instytucji państwowych, ale i działaczy, którzy od lat walczą o zrównoważenie narracji historycznej. Wzruszyłam się, widząc znajomych aktywistów w telewizji, po raz pierwszy dopuszczonych do publicznej debaty na temat konsekwencji kolonizacji Konga przez Belgię. Zwykle spotykaliśmy się pod pomnikami w niewielkich grupkach protestujących. Światowy ruch #blacklivesmatter wprowadził temat do mainstreamu. Pytanie, na jak długo.

Prasa relacjonuje kolejne zamachy na pomniki, polewanie ich czerwoną farbą, owijanie workami głów figur. Inni pytają, co dalej. Belgijski „Le Soir” na bieżąco zdaje sprawę z toczących się w przyspieszonym tempie wydarzeń, a „Le Vif” zżyma się, że teraz już nie można wypowiadać innych opinii na temat obecności pomników w mieście niż „przeciw”. Ci, którzy są za pozostawieniem ich na miejscu, czują się tak, jakby mieli zatkałe usta – jakby nie powinni się odzywać ani wyrażać swoich opinii w obawie przed linczem.

Ta sprawa stała się czarno-biała, bez odcieni szarości, piszą w „Le Vif”. I zadają pytanie, czy jeśli Belgowie przeproszą Kongijczyków, to Niemcy, Anglicy, Hiszpanie, Portugalczycy, Amerykanie, Kanadyjczycy, Rosjanie i inni też pokajają się przed swoimi dawnymi ofiarami.

Gorąco. Jest połowa czerwca 2020, roku #blacklivesmatter.

*



Patrzę na Pałac i myślę o losie niecierpianego tu architekta. Czy ludzka nienawiść może komuś zatruć duszę, odebrać rozum? Joseph Poelaert, wznosząc Pałac Sprawiedliwości, nadepnął na odisk wielu ludziom. Biednym, bez koneksji. Nic mu nie mogli zrobić, z wyjątkiem wygrażania pięściami. Może któryś rzucił kamieniem w ścianę Pałacu-giganta.

A jednak coś zabrało Poelaertowi spokój ducha. W trakcie stawiania kolosa doznał załamania nerwowego. Objawy przypominały wypalenie, a częściowo chorobę Alzheimera. Nie pamiętał wydarzeń sprzed paru dni, zapominał o datach, nazwiskach. Przytrafiało mu się, że znikał na trzy dni, a kiedy go znajdowano, nie miał pojęcia, gdzie był i co w tym czasie robił.

Już wcześniej przydarzały mu się podobno alarmujące wahania nastrojów. Może sprawił to ogrom pracy, mnogość szczegółów, rozmach jego licznych projektów. Jeździł przecież z budowy na budowę, niemal jednocześnie doglądał renowacji siedziby królewskiej w Laeken, budowy Pałacu Sprawiedliwości, kościoła Saint Catherine, teatru La Monnaie i wielu innych obiektów.

A Leopold II nie był łatwym pryncypałem. Bez przerwy się przemieszczał, jakby cierpiał na ADHD. Jeśli akurat nie jechał za granicę, czy choćby poza Brukselę, krążył po swoich ogrodach, jego tykowata sylwetka była w nieustannym ruchu. Jeszcze parę godzin przed śmiercią zerwał się, posilił i rozkazał pakować walizki, bo chciał jechać na Riwierę. Zamiast tego przeniósł się na tamten świat.

Poelaert – ciężkie powieki i wyraźnie zarysowane kości policzkowe nadające mu wygląd wschodnioeuropejski. Ale pochodził z Brukseli, a że jego ojciec był architektem, syn był poniekąd skazany na ten fach. Mieszkali w centrum Brukseli, przy rue de Laeken 76, niedaleko dzisiejszego teatru flamandzkiego KVS. Kamienica Poelaertów nie ma w sobie nic ostentacyjnego, jasna fasada pozbawiona jest ozdóbek. Tymczasem on na swojej zawodowej drodze poszedł w zdobnictwo.



Chciał być pianistą. Wierny pasji, do końca grywał na pianinie, ale już hobbystycznie. Zważywszy na jego dorobek, nie sposób pojąć, kiedy jeszcze miał czas uprawiać muzykowanie. Może to tłumaczy późniejsze wypalenie.

Pałac Sprawiedliwości na le Mont aux Potences (Wzgórzu Szubienic) wypełniał kiedyś przysadzistym kształtem okno mojej koleżanki, mieszkanki Marolles. Ilekroć do niej przychodziłam, hipnotyzowała mnie budowla otulona w ażurowy szkielet rusztowań, zwieńczona złotą kopułą. Opisałam ten widok w powieści. Alia, Kongijka, główna bohaterka *Pani Furii*, budzi się co rano i widzi ten symbol sprawiedliwości, przygląda mu się z dolnego miasta, jak kiedyś przed nią biedni marolczycy. Ta belgijska policjantka urodzona w Kongu walczy z systemem, z walcem niesprawiedliwości, który rozjeżdża najbiedniejszych.

Byłam kiedyś w Pałacu, gdy dawał tam koncert Walter Hus, znajomy muzyk. Hus zaprosił mieszkających na Marolles śpiewaków amatorów, żeby przyszli do Pałacu i zaśpiewali. Głosy ludzi z dolnego miasta wznosiły się pod monumentalnymi sklepieniami przybytku sprawiedliwości. Śpiewali pełną piersią, czasem fałszując, ale z przekonaniem. Już się nie bali tego miejsca, odpędzili strach, który w ich przodkach wzbudzało Wzgórze Szubienic. A potem wszyscy tańczyliśmy na parkiecie. I nikt tu nikogo nie osądzał.

W moich notatkach Pałac Sprawiedliwości figuruje w skrócie jako „Pałac Spraw”. Bo toczą się tam sprawy, nie tylko sądowe.

Gandhi i upierdliwcy

Uliczki na Marolles noszą zwierzęce nazwy, na przykład rue des Renards (ulica Lisia), rue du Faucon (ulica Sokola). Przemykały tu kiedyś pod ścianami szczury, myszy, psy. Te ostatnie nie tylko jako miejskie zabijaki, ale też w roli zwierząt pociągowych. Na starych fotografiach z początków XX wieku widać nieduże wózekci ciągnięte przez psy o budowie podobnej do bernardynów. Pojazdy bywały załadowane po wręby. Na jednym ze zdjęć widać, że z przodu wózekcia zamontowana jest ławka, siedzi na niej zaferowana kobieta w jasnej sukni i powozi.

Drobna burżuazja jeździła na targ dwukółkami zaprzężonymi w psy. Jeden z głównych targów w dolnym mieście odbywał się na placu Jeu de Balle, gdzie do dziś można kupić podrabiane produkty marki Nike, stare lichtarze, klamki i uchwyty do szafek z początków zeszłego wieku.

Dawniej na placu Jeu de Balle, gdzie dziś odbywają się słynne pchle targi, produkowano lokomotywy i maszyny parowe. W Atelier Renard przycupniętym na rue des Renards przez siedem lat, między rokiem 1837 a 1844, uwijało się kilkuset robotników z Marolles. Fabryka otworzyła się tuż po tym, jak pierwszy pociąg w Europie przemierzył trasę z Brukseli do Malines z oszalałającą prędkością 30 kilometrów na godzinę.

La Société du Renard (Towarzystwo Lisie) produkujące parowozy nie wytrzymało konkurencji ze strony brytyjskiej fabryki



lokomotyw i zamknęło interes, zostawiając bez pracy 400 pracowników. Dla biednej dzielnicy Marolles było to wielkim ciosem.

Pomieszczenie po fabryce wynajął belgijski artysta Antoine Wiertz, którego dzieła straszliwie wyszydzał Charles Baudelaire. „Wiertz, szarlatan, idiota, złodziej – pisał autor *Kwiatów zła*. – I co Bruksela zrobi z tymi jego rzeczami po jego śmierci?”

Bruksela uhonorowała Wiertza utworzeniem przy rue Vautier 62 muzeum, w którym wystawiono „jego rzeczy”. Jak pisze Jean-Baptiste Baronian w *Guide secret de Bruxelles* (Przewodnik po sekretach Brukseli), artysta faktycznie miał opinię oportunisty przekonanego o swojej wielkości. Mało tego, w roku 1900 na placu Blyckaert postawiono na cześć Wiertza pomnik. Głowy postaci z rzeźb to ulubione lądowisko gołębi, za każdym razem, kiedy przejeżdżam obok, tupie tam jakiś.

Fabrykę lokomotyw i maszyn parowych zburzono w 1859 roku, a w jej miejscu powstał plac Jeu de Balle. Życie wokół niego opisał sto lat temu inny *zinneke*, pisarz Roger Kervyn de Marcketen Drieesche. Arystokrata z frankofońskiej Flandrii władał perfekcyjnie również flamandzkim, chociaż ten język był wówczas pogardzany przez ludzi z jego klasy społecznej. Uważali, że francuski jest wytworny, a flamandzki „gminny”, i brzydzili się nim mówić.

Ale Roger Kervyn uwielbiał wielojęzyczność Brukseli. Zachwycał się językiem „belgijskim”, tą wyjątkową mieszanką francuskiego i flamandzkiego z dodatkiem ciętego „marolskiego” slangu. Miał zresztą prześmiewczy stosunek do konfliktów językowych i wynikających z tego wojen podjazdowych, wybuchających co rusz w malutkim narodzie. Nie optował ani za jednym, ani za drugim językiem, żaden nie wydawał mu się na tyle „ważniejszy”, by uczynić go jedynym oficjalnym. Mając doskonałe



wyczucie lingwistyczne, uważał, że Bruksela jest naturalnie zamknięta na monojęzyczność.

„Belgijski” był językiem jego dzieciństwa, bo przez kilka lat na początku zeszłego wieku codziennie przechodził przez Marolles w drodze do szkoły, koledżu Saint-Michel, również dziś bastionu arystokracji belgijskiej. Szedł ze swojego domu położonego przy bulwarze Waterloo 75 na rue des Ursulines, gdzie wtedy mieściła się szkoła.

Wyobrażam sobie, że przyszły pisarz kierował się do ronda Luizy, skręcał w lewo i mijał gigantyczny plac budowy, gdzie akurat przekopywano ziemię, by wznieść Pałac Sprawiedliwości. Czy przechodził tamtędy i wtedy, gdy nasadzano na gmach złotą kopułę, przypominającą myckę? Ze Wzgórza Szubienic schodził w dół, na Marolles. Szedł wzdłuż rue de l'Epée, która po przecięciu rue Haute przechodzi w rue du Miroir. Mijał rozwidlenie z rue de Blaes, skręcał w rue des Brigittines. Jeszcze tylko zostawił za sobą po prawej stronie dworzec Bruxelles-Chapelle, dziś nieczynny, i już był w szkole. Pewnie spóźniony, bo po drodze przystawał, żeby przyglądać się i podsłuchiwać (przypadłość pisarza, wiem, co mówię).

Owoc tych wędrówek to pełna surrealistycznego humoru, przeurocza gawęda złożona z obrazków życia na Marolles w ubiegłym wieku. Narrator bawi się formą, prowadzi grę, tworząc napięcie między „szlachetnymi tematami” a wulgarnym językiem i prostym sposobem ich przedstawienia. Bywa, że podważa wiarygodność narratora. Jego „Tak było. A może nie” stało się moim mottem. Jak ulał pasuje do Brukseli.

Postaci z opowiadań Rogera Kervyna zapadają w pamięć. Choćby taki Gandhi, obdarzony wyobraźnią marolczyk, który udaje fakira. Tyle że nie chodzi boso po gwoździach, a po... goździkach. Gandhi uporczywie pisze donosy na sąsiadów. Żona dogaduje mu z tego powodu, ale on i tak robi swoje. Na sąsiadów



ma jedno, celne słowo: „upierdliwcy”. Zżyma się na nich, chociaż czytelnik ma wrażenie, że mimo wszystko Gandhi chyba ich lubi!

Są tu kłótnie małżeńskie i nierówności społeczne pokazane ze swadą z perspektywy marolskiego łotrzyka. Pojawiają się „niebieskie ptaki” oraz ci, którzy się wzbogacili i teraz nie poznają dawnych znajomych. Jest wiele typów spod ciemnej gwiazdy, którzy mają swoje słabości, przeżywają miłości, odrzucenie.

Język, wymyślony przez pisarza, opiera się na zapożyczeniach z innych języków, z mowy marolskiej, a także na archaizmach, ale nie jest tak bardzo odległy od dzisiejszej rzeczywistości. Kiedy czytam: „Beh oue hein!” [wym: bełi, a!], to słyszę moich sąsiadów z dołu, z których dialogami przyszło mi się mimowolnie zapoznać podczas przymusowej izolacji w czasie pandemii. Siedziałam wtedy na dachu, gdzie dolatywały urywki zdań w różnych językach, tworząc dzisiejszą odmianę „belgijskiego”. Do francuskiego i flamandzkiego dołączyły angielski, włoski, portugalski i polski. Roger Kervyn byłby pewnie zachwycony kolejną falą „babelizacji” Brukseli.

W *Les Fables de Pitje Schramouille* (Bajki Dyla Sowizdrzała) jego autorstwa najbardziej wzruszyła mnie opowieść zatytułowana *La Lettre de Madame Bollemans* (List Pani Bollemans). Tytułowa bohaterka w liście do adwokata skarży się na swojego męża, z którym przyszło jej żyć już ćwierć wieku. Że ciągle siedzi w fotelu, słucha wciąż tej samej piosenki *Valencia* i w dodatku denerwująco pokasłuje. Pani Bollemans ma tego dość i chce się rozwieść – pada tu zresztą nazwa Pałacu Sprawiedliwości jako miejsca, gdzie mogłaby się toczyć sprawa sądowa.

Jednak na końcu listu, w PS, madame Bollemans zmienia zdanie. Przeprasza adwokata za zamieszanie, bo kiedy pisała, dotarło do niej, że przecież ma z mężem dzieci. A *Valencia*, piosenka, którą on ciągle puszcza z gramofonu, to melodia, przy której tańczyli jako narzeczeni. Więc w gruncie rzeczy nie wyobraża sobie



dnia, kiedy wróciłaby do domu i nie zastała go siedzącego w swoim fotelu...

Coś w tych historiach z Marolles – w mieszance swady, czułości, mięsistych sformułowań – przypomina mi opowieści mojej babci, która wychowała się na warszawskim Muranowie. Odnajduję w nich to samo nieco surrealistyczne poczucie humoru podsyte ironią i dystans do wszystkiego, co nadęte i pretensjonalne. A nie daj Boże, żeby ktoś się popisywał stopniami naukowymi. „Dr” lub „dr hab.,” który stawiał te literki w centrum uwagi, sam się prosił, by wieszać na nim psy.

Roger Kervyn wydaje mi się bratnim *zinneke*. Kiedy opisuje chwile, gdy przestał pracować jako prawnik, bo postanowił zostać pisarzem, odnoszę wrażenie, że to moje własne wspomnienia: „Czytam, czytam. Czasem to »nie-działanie« wywołuje we mnie poczucie winy. Przecież ludzie »robią w ubezpieczeniach« czy sprzedają samochody, a ja...”⁶.

Podobnie jak Rogera Kervyna mnie też gnębiły wyrzuty sumienia. Przy czym on urodził się wśród ludzi, dla których pisanie nie było pracą. Świeżo wzbogacone drobnomieszczaństwo brukselskie z początku XX wieku z rozrywek uznawało tylko teatr, a pisarki i pisarzy uważało za obiboków.

Pod tym względem Polska po 1989 roku to inna bajka, bo chociaż kapitalizm stara się przemienić pisarstwo w rzemiosło, to tlą się jeszcze resztki prestiżu dla zawodu pisarki i pisarza. Ten szacunek odnalazłam też w Kinszasie, kiedy pojechałam tam zbierać materiały do powieści *Pani Furia*. Bieda każe doceniać to, co niematerialne.

Ramadan w Stalingradzie

Dzisiejsze Marolles w części położonej bezpośrednio poniżej Pałacu Sprawiedliwości jest ulizaną wersją tego, co tu się kiedyś kłębiło. Rue Haute stanowi warkocz spleciony z antykwariatów, sklepów z pamiątkami i kafejek, z których żadna nie zachowała marolskiego charakteru. Dawne klimaty można znaleźć bliżej placu Jeu de Balle.

Odpicowane antyki wyglądają z wystaw, kuszą „autentycznością”. Łaszą się do starszych Belgijek o farbowanych na blond włosach i z zadziwiająco mocną opalenizną. Chociaż ostatnio zaczął się tu przebijać trend z Francji – kobiety coraz częściej zachowują naturalnie siwe włosy i krążą po Marolles w trampkach.

Z placu Jeu de Balle przez rue Haute przejechał kiedyś fałszywy orszak żałobny. Tuż po zakończeniu wojny kukłę Hitlera wywieźli Göring i Goebbels, w których wcielili się marolczycy, co mi przypomina, że mieliśmy kiedyś piętro niżej sąsiada o nietypowym nazwisku. „Dr Frank Goebbels” – głosiła tabliczka przyczepiona przy dzwonku. Doktor Frank i jego żona Ariadna okazali się bardzo sympatycznymi ludźmi, choć obecność Goebbelsów pod podłogą to mocne przeżycie dla Polaków wychowanych na *Czterech pancernych* i *Stawce większej niż życie*.

Poniżej placu Jeu de Balle zaczyna się biedniejsza część Marolles. Mój znajomy Moussa, fryzjer i organizator wystaw, przeżył kilka trudnych miesięcy, próbując znaleźć swoje miejsce wśród



mieszkańców ulicy des Tanneurs. Kilka razy wybili mu szyby, bywało, że wpadali do środka, coś wykrzykując. Być może tłumy, które zbierały się na ulicy podczas urządzanych przez niego wernisaży, drażniły mieszkających tam ludzi. W końcu Moussa zorganizował zajęcia dla dzieci i młodzieży z tej ulicy, nawiązał z nimi osobisty kontakt. I tak to się uspokoiło.

Rue de Tanneurs, która prowadzi do Gare du Midi (Dworca Południowego), ciągnie się niemal równolegle do avenue de Stalingrad. I tu praktyczna uwaga na temat tego, co koniecznie trzeba wiedzieć przed wejściem w zaułki Brukseli: jeśli człowiekowi się wydaje, że idzie równolegle do jakiejś ulicy, to niemal na pewno zmierza do niej prostopadle. Albo robi pętlę. Tu nie ma prostych ulic, są tylko mniej lub bardziej zakrzywione.

Znakiem rozpoznawczym miasta są małe rondka, od których rozchodzą się gwiazdźście uliczki. Może być ich trzy, ale może być i sześć. Ten średniowieczny rys architektoniczny zachowano w dzielnicach zbudowanych później. Chociaż mieszkam tu już 15 lat, zdarza mi się zgubić. Jeśli się spieszę, wracam po śladach, bo wstydzę się używać GPS-u we własnej dzielnicy. Ale jeżeli mam chwilę, ruszam na spotkanie nowych zakątków.

Avenue de Stalingrad poznałam o nietypowej porze. Był późny wieczór, a ja wracałam z treningu ze znajomymi bokserami. Zachciało nam się jeść, ktoś napomknął, że jedyne restauracyjki, które mogą być otwarte o północy, znajdują się na avenue Stalingrad. A to dlatego, że trwał właśnie ramadan i muzułmanie wychodzili z domów po całonocnym poście, żeby siedzieć i jeść w knajpkach do świtu.

Nie przewidziałam jednego – że w czasie ramadanu będę jedyną kobietą na całej ulicy. I chociaż maszerowałam w asyście umięśnionych kolegów, sama nie ułomek, poczułam się nieswojo. Wszyscy na mnie patrzyli. Nie z powodu mojej urody – po



dwóch godzinach boksowania człowiek nie ma w sobie nic uwodzicielskiego – tylko dlatego, że żony i córki mężczyzn siedzących przy stolikach przebywały w domach. A ja paradowałam środkiem ulicy, nocą, poniekąd w obstawie. Wkroczyłam w nie swój świat, i to w bliżej niesprecyzowanej roli. Ot, nocne zderzenie kulturowe na ulicy o nazwie, która wcześniej kojarzyła mi się z zupełnie innym rejonem geograficznym.

Dodatkową atrakcją bulwaru Stalingradzkiego jest to, że po przeciwnej stronie arterii rozciąga się bulwar Europejski. W tych okolicach, wokół Gare du Midi, odbywa się niedzielny targ, gdzie można spróbować jedzenia z całego świata. Wyjadałam tam nie raz oliwki prosto z przeciekającej tekturowej tacki.

Takich targów jest zresztą w Brukseli kilka, handlarze rozkładają stragany co weekend w każdej większej dzielnicy. To żelazna tradycja Belgów i wszystkich, którzy chcą za Belgów uchodzić – pójść z koszykiem i zawracać głowę sprzedawcy, żeby ukroił cienki plasterek takiego czy innego sera.

Prawda jest taka, że niemal te same produkty są dostępne w zwykłych sklepach, podobnie jak owoce i warzywa. Ale siła mieszczańskiej tradycji jest nie do pokonania. Siedzenie nad tacką ze ślimakami i sączenie wina przed południem to składnik tożsamości i obowiązkowy punkt do odhaczenia dla każdego, kto chce przynależeć do grupy zamożnych mieszczuchów. Nic tu po *zinneke*.

Pewnego razu tak szydziłam z tych „ryneczków” przy kole-dze Belgu, aż uderzył się w piersi i przyznał, że co sobota maszeruje na lokalny *marché* z płócienną siatką i wybrzydza przy straganach. A więc tak, jest zatwardziałym mieszczuchem. Co stoi w sprzeczności z jego lewicowymi poglądami. Nie przeczę, triumfowałam.

Ale podczas pandemii zaczęłam myśleć ciepłej o targowiskach, które odbywają się w Brukseli od czasów średniowiecznych.



Może ludzie zbierają się tam nie tylko ze snobizmu, ale też żeby pogadać, pobyć razem? Nie wiem, bo jestem z bloków, a za PRL-u jedynym miejscem integracyjnym poza podwórkiem była świetlica, która może się przyśnić w koszmarach. Zawsze mnie odrzucało od zaglądania do beczek, udawania znawczyni produktów i dopytywania się, czy aby te rybki są świeże. Zakupy robiłam od zarania w samie albo w przepastnym supermarkecie.

Jednak kiedy przez kilka weekendów w czasie pandemii widziałam, że plac niedaleko mojego domu jest pusty, zrobiło mi się smutno. I teraz w soboty drepczę do stoiska zaprzyjaźnionej Afrykanki, żeby kupić smażone banany. Kiedy nie przyszłam, bo pisałam, zaczepiła mnie córka sprzedawczyni: „A ja już pytałam mamy, czemu tydzień temu pani nie było!”



Place Poelaert



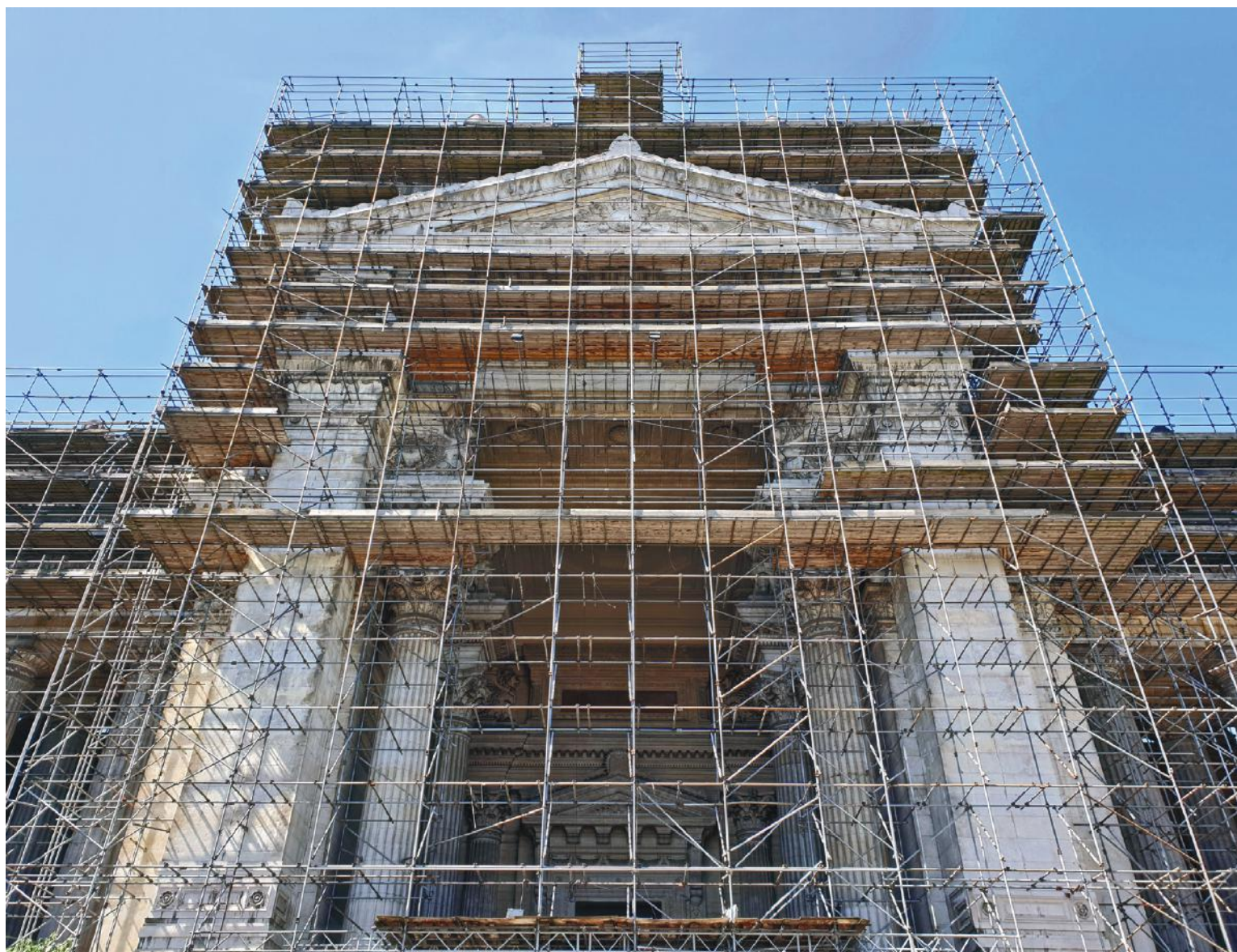
Place Poelaert



Place Poelaert, Monument à la Gloire de l'Infanterie Belge – pomnik chwały belgijskiej piechoty



Palais de Justice – Pałac Sprawiedliwości



Palais de Justice – Pałac Sprawiedliwości



Ascenseur des Marolles, place Poelaert – winda między placem Poelaert a Marolles



Rue des Minimes – uliczki Marolles



CETTE FRESQUE
EST L'HISTOIRE DE LA
RENCONTRE ENTRE
les enfants du quartier
le Comité de la Samaritaine
L'ARTISTE LI SE BRACHET
et le Scriptorium International
Club Bruxelles-Sablon

avec le soutien de
la Ville de Bruxelles

scrip

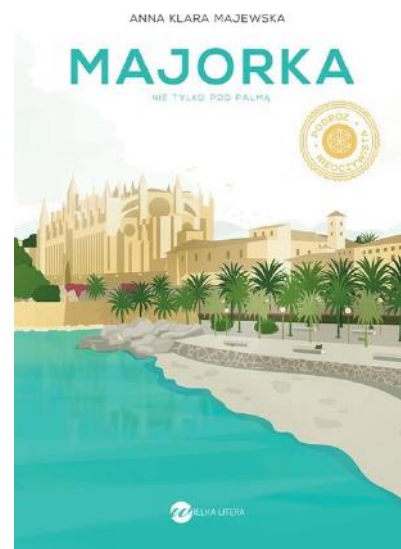
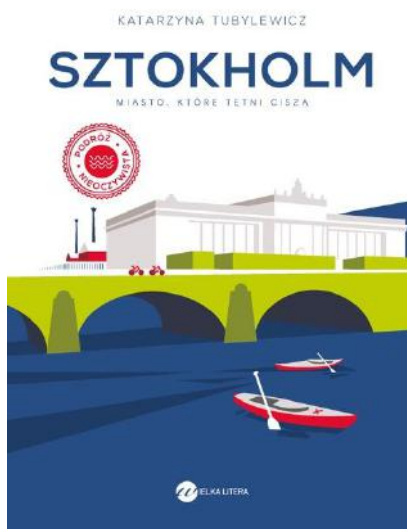
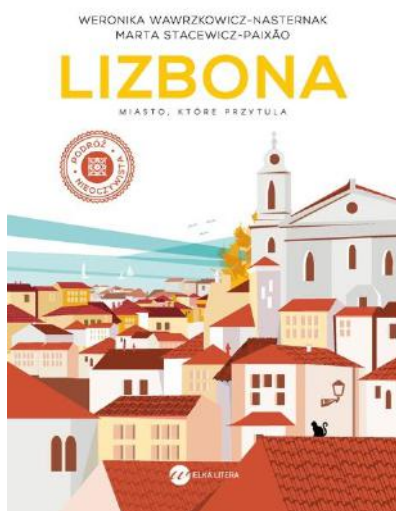
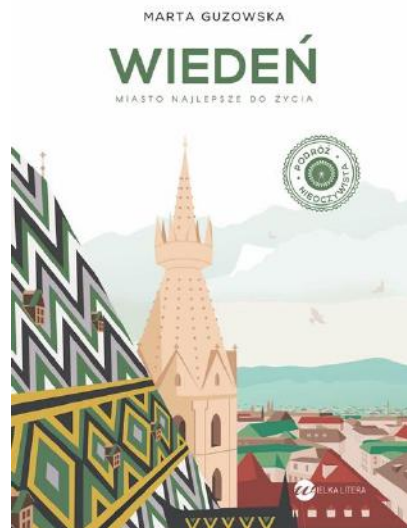
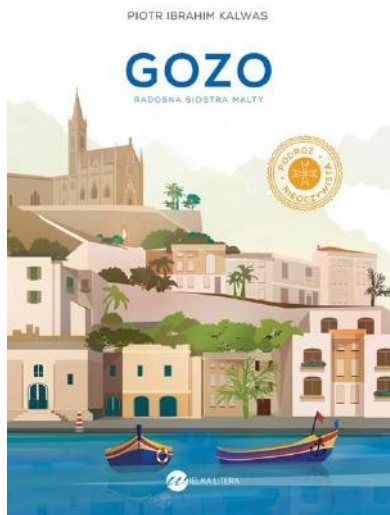
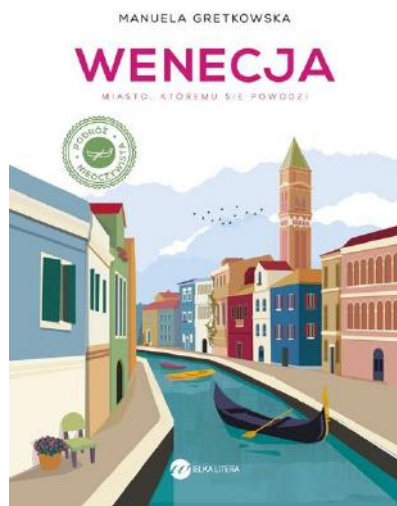
scrip





Więcej o książce przeczytasz [tutaj](#).

Sprawdź pozostałe tytuły z serii:



Zapraszamy na
wielkalitera.pl